

Albo zdziażdżałem, albo faktycznie było ciężko

05.01.2019

Silny wiatr smaga nas po twarzach śniegiem i kawałkami lodu. Mamy zmarznięte wszystkie palce, ale najgorzej jest z oczami. Nie jesteśmy w stanie wypatrywać, którądy prowadzi trasa. Aga przekrzykując wiatr woła do mnie:

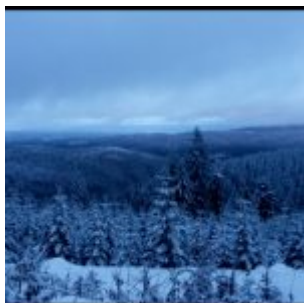
– DZIKU IDŹ PRZODEM, JA BĘDĘ PATRZYŁA NA KOŃCÓWKI NART!!!

– OK!!! – po czym próbuję ją wyminąć, ale przede mną jest wysoka zaspą. Dziwne, bo powinien być w miarę płaski szlak. Wdrapuję się na zaspę i spadam z drugiej strony. Aga krzyczy w pustkę ale brak odzewu.

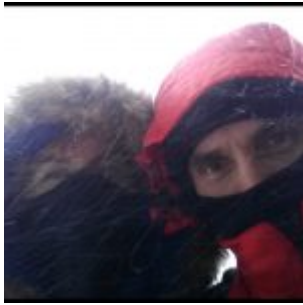
Dzika ani widu ani słychu.



Husaria tuż przed parkingiem i końcem „treningu”



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu



Na szczycie – 1491 m



W drodze na Pradziada



Jakiś 20-ty km trasy. Powrót do auta.

29.12.2018 – Trasa nr 1



Husaria tuż przed parkingiem
i końcem „treningu”

Celem jest rozruch, który przyda się Adze po – jakby nie patrzeć – blisko 3,5 roku *odpoczynku*. W tym czasie jedyne co robiła, to pranie, przewijanie, noszenie, karmienie, lulanie itp. Nie wspomnę już nawet o 2 ciążach, w których to już w ogóle spoko, bo pracować nie trzeba. Zresztą kto doświadczył to wie. Ogólnie l a j c i k.

Zaliczyła wprawdzie w tym czasie parę [wyskoków na szczyty](#) pomiędzy karmieniami, wspinanie skałkowe, drytooling, a nawet kurs lawinowy. Trochę pobiegała, poprawiła wynik na 10 km, pomykała [w 6 miesiącu ciąży po Alpach](#), no ale to wciąż nie była regularna wyrypa. No to teraz przyszedł moment, że wystartowaliśmy.

Dzieci podrzucamy do „Dziadków 1” pod drzwi. Dzwonimy dzwonkiem i uciekamy.

Start na biegówkach z Zieleńca. Celem jest Wielka Destna ale na luzie, bo ogólnie ma być, jak już wspomniałem – rozruch. Dlatego nie przejmujemy się, kiedy skręcamy nie tam gdzie trzeba i po 7 km do najwyższego punktu Gór Orlickich mamy nadal tyle samo, ile teoretycznie było z parkingu. Po drodze zaliczamy Orlicę, przemy w górę i w dół bez względu na taką sobie pogodę i kompletny brak widoczności. Jest bosko i gdy wracamy na parking jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani pomimo, że główny cel pozostał w zasadzie nieosiągnięty.

Za nami 15 km i całkiem niezłe tempo. Całość zajęła nam 2h40'. Na zjazdach osiągam prędkość 25 km/h, daje to pojęcie jaki w biegówkach jest potencjał.

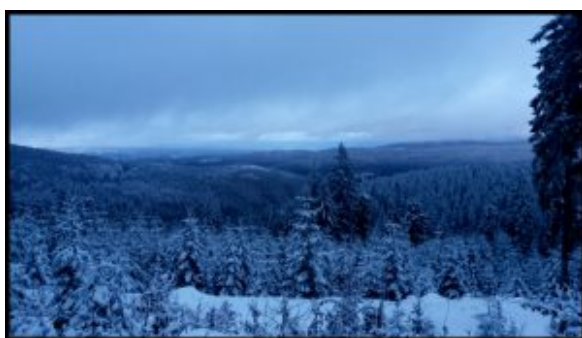
30.12.2018 – Trasa nr 2

Tym razem bardziej skupiamy się na dotarciu na Destną. Idziemy po najmniejszej linii oporu i szybko docieramy na biegówkach w pobliże szczytu. Ostatnie 2 km dłużej mi się niemiłosiernie, bo postanowiliśmy zjeść sobie bułkę dopiero przy schronisku, a głód męczy mnie od dłuższego czasu. W każdym mijanym drzewie widzę dach budynku. Miraż wynika z tego, że ponownie walczymy

w gęstej mgle (takiej co kury dusi). Koniec końców docieramy do „zajazdu dla biegówkarzy”, zaliczam bułkę, zaliczamy szczyt, no i zaliczamy 20 km w takim sobie czasie (4h 20'). Być może dlatego, że nie odrobiliśmy strat na zjazdach wybierając niekorzystnie uformowaną trasę. Tzn. zbyt stromą jak na nasze umiejętności. Była to trasa typu „padłeś – powstań”, gdzie Aga co rusz lądowała na śniegu. Musiało to rozpaczliwie wyglądać, bo jeden przyglądający się jej zjazdowi Czech podszedł i wyciągnął zza pazuchy piersiówkę. „Masz, na odwagę i siłę” – powiedział. Zresztą kawałek dalej inny Czech podszedł do niej z „batonikową premią”. Ważne jednak, że oboje czuliśmy się jak w swoim żywiole. To był nasz wspólny wielki powrót na szlak. Udany powrót.

Wracamy odebrać dzieci. Dziadki wyglądają na zmęczonych bardziej od nas. Lokalizacja na jakiś czas spalona.

PS. Dzieciom też nie darujemy w tych dniach i chcąc nie chcąc zdobywają swoje pierwsze sprawności w śniegu i mrozie.



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu

05.01.2019 – Trasa nr 3

Podjeżdżamy pod dom „Dziadków 2”. Podstawiamy ciepło ubrane dzieci, dzwonimy dzwonkiem i uciekamy. Jedziemy na parking na Červenohorské sedlo, zostawiamy auto i ruszamy na biegówkach w trasę. Naszym celem tym razem jest Pradziad. Przez cały czas sypie śnieg, widoczność słaba, jednak mamy dobre tempo i dużo

radości z tego, że tu jesteśmy. W mijanym po drodze schronisku zjadamy całe nasze zapasy. Do szczytu pozostało ze 3,5km, więc psychicznie nastawiamy się na dalszą zabawę. I to był błąd, za który zapłacimy.

Od skrzyżowania (1,5km do szczytu) wchodzimy w śnieżną zamieć. Szybko zaczynam mieć dość i czekam, aż Aga powie magiczne słowo „zawracamy”. Ona jednak, pomimo, że jest jeszcze mniej odpowiedniego ubrania ode mnie prze do przodu. Błędnik wariuje, nie wiemy gdzie jest prawo, gdzie lewo, gdzie góra a gdzie dół. W pewnym momencie Aga uświadamia sobie, że stoi w miejscu pomimo, że była pewna, że jedzie do przodu po moich śladach. Ściąga narty i idzie z nimi pod pachą. Krzyczy bym się nie oddalał, tym bardziej, że tylko kilka metrów różnicy powoduje, że tracimy się z oczu. W tych paskudnych warunkach docieramy do budynku na szczycie Pradziada (1491 m n.p.m.), w środku odpoczywamy dłuższy czas. Wokół nas narciarze zjazdowi i turyści piesi. Jedni młodzi, inni to wręcz dzieci. Jak oni tu dotarli? Dlaczego nic sobie nie robią z tego, co nas czeka na zewnątrz? Czy to tylko mnie ten wiatr smaga i odmraża mi palce? Dobrze, że chociaż Aga decyduje się założyć getry i maskę, bo bym pomyślał, że do reszty zdiadziałem. Wychodzimy na zewnątrz i posuwamy się pieszo szeroką drogą w dół. Szybko decydujemy się założyć narty, gdyż wiatr wyrywa nam je z rąk. W pewnym momencie Aga krzyczy, bym ją wyprzedził. Nie jest w stanie patrzeć przed siebie, kiedy wiatr tnie po oczach kawałkami lodu. Chce iść pochylona i patrzeć na końcówki moich nart. Tymczasem mi znów błędnik oszalał i mijając ją zupełnie zmieniam kierunek marszu. Wchodzę na zaspę na krawędzi szlaku i zsuwam się szybko w dół. Przynajmniej wiem, gdzie jest góra, bo gdybym nie spadał to bym nie wiedział. Kiedy wyhamowuję na oblodzonym stoku, nie mam już z Agą żadnego kontaktu. Krok po kroku wracam na górę, widzę już tyczki, jest też zarys postaci.

- DZIKU!!! SPADŁEŚ ZE SZLAKU!!! – krzyczy zarys.
- CHCIAŁAŚ MNIE ZABIĆ!!! – odkrzykuje Dzik.



W drodze na Pradziada

Tfu! Nie po to włąziłem na dziesiątki szczytów w Alpach, żeby się na czeskim Pradziadzie połamać, odmrozić i nie wiem co jeszcze. No ale łatwo powiedzieć, a trzeba się naprawdę spiąć, żeby się z tego wydostać. Zjeżdżamy na ślepo, byleby za tyczki nie wypaść, Aga „płuży”, ja tymczasem tnę coraz szybciej. Znów tracimy się z oczu, ale doganiam innych turystów, a to działa dobrze na psychikę. Mijani turyści idą z psami. Bardzo dziwnymi psami, bo z jednej strony czarnymi a z drugiej – nawietrznej – kompletnie białymi. Sierść pokryta lodem i śniegiem, nawet pysk do połowy zamrożony. Ale trzymają się dzielnie, może wyjdą z tego bez odmrożeń. Moje palce już bez czucia i krążenia. Zarówno te w rękach jak i u stóp. Gdy docieramy do skrzyżowania wiatr się uspokaja. Teraz byle tylko do schroniska, cały czas w dół. Po jakimś czasie czuję ból w dłoniach. Uff – wraca czucie w rękach. Z palcami u stóp gorzej, ale do tego już się przyzwyczaiłem i się nie martwię. W plecaku mam suche skarpetki i woreczki – ten zestaw zrobi robotę i będzie całkiem komfortowo do samego auta. Aga... jakby nigdy nic, uśmiechnięta, idzie zamówić piwo. Zuch dziewczyna! Zanim do końca odtajemy będziemy już rozmyślać nad kolejnym celem. Znów czujemy, że żyjemy i że robimy to, co kochamy i co nas łączy.

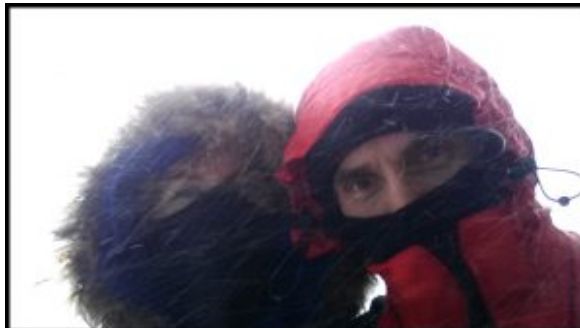
Za nami tego dnia 25 km, co zajęło nam w sumie 5h15'. Maksymalna prędkość 26 km/h.



Jakiś 20 km trasy. Powrót do auta.

tekst – Dziku

PS. wieczorem w łóżku paskudnie pieką mnie oczy. Wiatr, mróz i śnieg zrobiły swoje. Mam problem z przeczytaniem synowi bajki o Św. Mikołaju, któremu Elfy usprawniły sanie o silnik odrzutowy. Przez łzy widzę obrazek w bajce, na którym Mikołaj ma na nosie GOGLE. Cholera, ileś to się można nauczyć czytając bajki dla dzieci.



Na szczycie – 1491 m

Dziku, a Dawid powiedział...

(Zdjęcie powyżej – Aga toruje w głębokim mchu)

Wspinaczka a człapanie

W piękny, wiosenny dzień wybraliśmy się z Aga wspinać w skałach. Poł żartem a pół serio napiszę, że było to dla nas coś wyjątkowego. Bo to, co do tej pory w górach uprawialiśmy, to głównie człapanie. Człapiemy latem, zimą, po skałach, po lodowcu, na 3, 4 a nawet na 7 tysiącach metrów.

Prawdziwie wspinaczkowa, kilku-wyciągową drogę zrobiłem raz w życiu – na Blauspitz (relacji wciąż brak). W dodatku drogę tę w całości poprowadził Dawid. Nie dziwota więc, że kiedy wchodziliśmy w większe trudności to zaczynał się spór o to, jak wyblinka wygląda. W efekcie otrzymywaliśmy z reguły coś, co można było nazwać ćwierćwyblinką.



Wejście na Blauspitz – wrzesień 2016

To często dziwi tych, co mnie o te nasze „wspinaczki”

przepytują. Jak to się nie wspinamy? To co tam my niby robimy? Dlatego opiszę teraz jaka jest na dzień dzisiejszy definicja „wspinaczki” wg Dzika.

Prawdziwy wspinacz jest chudy i nieogolony. Wspina się jedynie w letnie, słoneczne dni. Pozostałe dni spędza na sztucznej ścianie. Przymierza się tam do trudniejszych chwytów, najczęściej jednak boulderuje. Pełna piersią wdycha chmury magnezji.

W terenie zaś, pod skałę przychodzi w towarzystwie jednej lub dwóch dziewczyn. Ma na sobie koszulkę z podwiniętymi rękawkami oraz obcisłe spodnie. Przegląda topo, asekuruje na łatwych drogach koleżanki, a sam przymierza się jedynie do dróg, których przejść nie sposób. Jeśli zdarzy mu się jakąś od niechcenia przejść to cmoka i oznajmia, że droga powinna mieć wyższą wycenę, niż ma w opisie.

Zresztą te drogi, na które chciał dziś wchodzić są wszystkie akurat zajęte przez osoby bez wystarczających umiejętności.

Bo bez względu na zaangażowanie we wspinaczkę jest cały czas świadom tego, co się wokół dzieje. Widzi, jak inni z trudem próbują pokonać drogi, których wycena w opisie jest zdecydowanie zawyżona.

Najwyższym stopniem wtajemniczenia we wspinaczkę skałkową mogą pochwalić się instruktorzy. Ci zapytani (lub nie) o dowolny aspekt związany z techniką i sprzętem zapewnią (ale nie uzasadnią), że tylko ich technika jest właściwa a wszyscy inni proszą się o wypadek lub śmierć.

Przygoda na Trzech Kopkach

Chcąc zakosztować nieco tego uczucia bycia prawdziwym wspinaczem wybraliśmy się w słoneczny kwietniowy weekend w skały. Żywej duszy tam nie spotkaliśmy. Dzięki temu nikt nie widział, jak wchodzimy z wielkim wysiłkiem na drogi o wycenie 4 i 4+. *Oczywiście drogi te są wg opisu źle wycenione, gdyż wg mnie wraz z postępującym cofaniem się lodowca dziś te drogi*

powinny mieć znacznie wyższą wycenę – co najmniej 6m (oznaczenie grubości warstwy mchu na skale).

Samo ogarnianie dróg i szpeju szło nam całkiem sprawnie. Może dlatego, że wszelkie potencjalne spory rozwiązywaliśmy zaczynając zdanie od „Dawid powiedział” albo kończąc „bo powiem Dawidowi”. To ucinęło wszelkie dyskusje, bo Dawid, któremu pokazywaliśmy pod [Linardem](#) jak buchtować linę, dziś stał się naszym wspinaczkowym mentorem.

Nie dlatego, że przekonał nas, że jego sposoby są najlepsze. Raczej dlatego, że nam najnormalniej w świecie po ludzku wstyd się robi, kiedy nas uświadamia, jak bardzo ograniczamy sami siebie uporczywie trzymając się obecnej taktyki.

Taktykę tę celnie skomentował napotkany przewodnik pod Gerlachem: [„Z pogardą dla sprzętu”](#).

Dziku



Wspinam się dla pięknych widoków

Sołówka, hamak i zrypa od

Gryllsa

Po zdobyciu [z Michałem rano Biskupiej Kopy](#) i po imprezie urodzinowej chrześnicy jadę z powrotem w Góry Opawskie. O 18-tej jestem znów w Czechach, przebieram buty, zarzucam plecak na plecy i ruszam w trasę. Cele: a) przetestować kolano, które znów się odezwało, kiedy schodziliśmy ostatnio ze Śnieżnika, b) przetestować wydolność po wielomiesięcznym bezwysiłkowym letargu i po odbytej 3 tygodnie temu operacji FESS, c) przetestować hamak, d) przetestować orientację w terenie oraz e) przetestować syna w sytuacji, kiedy to pierwszy raz został na noc sam u cioci (lub też przetestować, jak sobie w tej sytuacji poradzi ciocia).

Trasa, którą wybrałem wynosiła około 30km długości, a na jej pokonanie miałem jedynie wieczór i poranek. Po drodze zaplanowałem nocleg w hamaku, czego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Start – Ondrejovice

Szlak prowadzi w kierunku miejscowości Rejviz. Gdzieś zaraz za Ondrejovicami odbija nieco od asfaltu, jednak przeoczyłem to zejście. Po krótkim czasie decyduję się jednak wejść na grzbiet „na strzałkę”. Wydaje mi się nawet, że widzę na drzewie z daleka zielony znak. Rzeczywiście szybko natrafiam na właściwy szlak i tak jak za pierwszym razem tak i później okaże się, że intuicja mnie na tym wyjeździe nie zawiedzie. W tym miejscu przypomina mi się kolano. Boję się, że przekreśli ono cały plan. Wymyślam sobie teorię, że to tkwi jedynie w mojej głowie i muszę przestać o tym myśleć. Wyciągam stary odtwarzacz mp3, który spędził ostatnie lata w kartoniku w piwnicy. Zgodnie z poleceniem Schillera odprężam się i wraz z zaproszonymi wokalistami (szczególnie miło wspominał Moya Brennan) daję się zabrać w wyjątkową podróż.

Pierwszy wiatrołom

Niedaleko Rejviz wchodzę w wiatrołom. Duże pole, które wcześniej było lasem, a teraz jest wyściełane powyrywanymi drzewami. Nie sposób odnaleźć tu oznaczeń szlaku. Przechodzę na wycucie na drugą stronę, jednak trochę zbaczam z obranego kierunku z powodu płotu. Szlaku nie znalazłem ale w orientacji pomaga zachodzące słońce więc odbijam we właściwym kierunku. Przez kolejny kilometr idę przez las bez żadnej drogi. Wychodzę na pole i po jego przecięciu jestem między domami w Rejviz, czyli znów na właściwej trasie. Po kilkuset metrach odbijam żółtym szlakiem na południe.

Ciemność widzę

W ostatnich promieniach słońca obserwuję panoramę i zaczyna się robić naprawdę ciekawie. Widoczne odległe wzgórza i grzbiety są na mojej trasie... na dziś! Największe wyzwanie to czuję, że nastąpi teraz na żółtym szlaku. Gdzieś tam mam odbić z żółtego na zielony. Po pierwsze będzie już zupełnie ciemno, po drugie moja mapa akurat tego obszaru nie obejmuje, no a po trzecie będzie to za ok. 6,5km, czyli jest to dystans, na którym ciężko utrzymać 100% skupienia. Aha i po czwarte – nie zabrałem kompasu. Z początku gnam jeszcze bez czołówki, dzięki resztkom światła mogę podziwiać wyjątkowy szlak. Prowadzi on przez soczyście zielony, wilgotny i porośnięty mchem las. To jedno z tych poznanych podczas tego marszu miejsc, które wydają się pochodzić z bajki. W ciemnym lesie powyżej zapalam czołówkę. Z mroku wychwytuję niewielkie znaczki namalowane na drzewach.

Hobbit

Skrzyżowanie z zielonym ciężko byłoby przeoczyć. Wchodzę na ostatni 4 kilometrowy odcinek i już wiem, że jestem w domu. Niepokoi nieco fakt, że od dłuższego czasu znajduję się na wysokości powyżej 900 m n.p.m. i z tej wysokości już dziś nie zejdem. Szlak momentami jest pokryty lodem a po bokach zalegają śnieżne zasy. Nie przypomina to zbytnio tropikalnego klimatu

i nie jestem pewien, czy decyzja o spaniu w hamaku była przemyślana. Ale póki co muszę maszerować, a trudności jak się okazało się spiętrzyły – w postaci drzew. Wychodzę na obszar pokryty powyrywaniem z korzeniami potężnymi sosnami. Próbuję utrzymać kierunek więc przechodzę pod jednym wielkim pnem, dochodzę do kolejnych, których nie sposób pokonać. Z jednej strony potężne korzenie, tworzące z ziemią parokrotnie ode mnie wyższą zaporę. Z drugiej strony połączone korony – również nie do przejścia. Przypomina mi się historia o hobbitach. Czuję się małej w niezwykłym, baśniowym świecie. Decyzję podejmuję taką, że wracam do początku i obchodzę wiatrołom dookoła. Gdy dochodzę do lasu po przeciwnej stronie szczęśliwie odnajduję znaki na drzewach i dalej podążam zielonym szlakiem. Podczas tej przygody ściągnąłem słuchawki (onieśmielony tym co widziałem i czułem) i teraz zakładam je z powrotem. Na jednej nie ma gumki! Przyjmuję na pewniaka, że musiała spaść przed chwilą. Schylam się i na podkurczonych nogach idę lasem i w świetle czołówki szukam czarnej gumki wielkości ziarenka kukurydzy. Po kilku metrach o dziwo ją znajduję.

Ruiny

Od przejścia wiatrołomu jestem jak w jakimś transie. Na dodatek teraz dochodzę do innego klimatycznego miejsca – ruin zamku Kobrejstajn. Tu chcę przenocować. Jest świetne miejsce na ognisko. W pierwszej chwili pomyślałem, że dobrze by było się rozgrzać ale nie zabrałem zapalek. Za to są skały, są przepaście, jest odlot. Patrzę na czarne wzgórza, lasy i światła okolicznych miejscowości. Świecę w dół a tam pionowe urwisko. Myślałem do tej pory, że stoję w najwyższym miejscu, ale przeczytałem o 9-metrowej wieży więc się rozglądam i... nade mną widzę skalną budowlę. Uczucie przytłaczające, ciemna noc potęguje wrażenie. Czuję coś jakby strach, jednocześnie cieszę się, że tu jestem.

Nocleg i szkoła przetrwania

Tuż obok ruin szukam odpowiednich drzew (w lesie jest ich sporo – ot, taka odkrywcza myśl) i rozkładam hamak. Idzie mi to topornie. Jeden rep za długi a taśma trochę za krótka. Mógłbym przyciąć jedno i dowiązać do drugiego ale nie zabrałem noża. I to by było tyle, jeśli chodzi o moje przygotowanie do survivalu. Przed oczami mam twarz Bear Gryllsa patrzącego na mnie z okładki książki „Szkoła przetrwania”. Wyruszyłem w długą trasę z noclegiem w lesie i nie zabrałem a) komapsu, b) zapalek, c) noża. Mam za to odtwarzacz mp3 oraz banana.

Wracając do hamaku – rozłożyłem go na stromym zboczu z wejściem od strony spadku, czyli bez sensu. W pierwszej chwili chcę tak to zostawić, ale wyobraziłem sobie, jak idę na drugi dzień 15 km ze złamanym obojczykiem. Szybko znalazłem lepsze miejsce i położyłem się spać.

Poranek

Muszę przyznać, że się całkiem dobrze wyspałem i widzę wiele zalet w spaniu w hamaku. Jest lekki, szybko się rozkłada, składa, łatwo znaleźć odpowiednie miejsce i nie trzeba szukać płaskiego kawałka ziemi. Ma jednak niewątpliwie jedną wadę: od spodu jest zimno. Może znajdę na to jakiś patent a może wystarczyło zabrać puchowy śpiwór. Jednak wydaje mi się, że śpiwór niewiele by pomógł, bo i tak byłby od spodu zgnieciony, czyli bez izolacji. Zwijam biwak w kulkę i wrzucam do plecaka. Jeszcze obejrzę ruiny o poranku i o 6-tej ruszam na szlak.

Powrót

Kolejne 15km, jakie zostało mi do pokonania to mieszanka pięknych widoków, szlaków i wspomnień, bo wkrótce dochodzę do znajomej części szlaku. Byłem tam co najmniej dwukrotnie i to również zimą, kiedy zdobywałem Príčný Vrh. [Za pierwszym razem](#) podczas ekspresowej Zimowej Korony Sudetów. [Za drugim zaś razem](#), kiedy to zrobiłem sobie w tamtej okolicy podobną samotną wyrypę. Było to dokładnie w tym samym czasie, ale warunki jakże skrajnie odmienne! Wtedy (6-go kwietnia)

torowałem w głębokim śniegu a dziś (8-go kwietnia) idę w warunkach niemal letnich.

Podsumowanie

Dzień pierwszy to przebyte ponad 16km w zaledwie 3h z paroma minutami. Dzień drugi to nieco ponad 15km w 3h i 10 minut. Jeśli chodzi o przewyższenie to całość wynosiła około 1150mH w górę i podobnie w dół. Kolano się odzywało, ale ewidentnie jest lepiej. Setki powtórzeń w przysiadach na piłce prawdopodobnie dają efekt. No i drożność w obydwóch dziurkach w nosie taka, że jak spałem to się igliwie podnosiło pod hamakiem do góry.

Pozdrawiam

Dziku Maniak

ps. Bear Grylls jak to przeczyta to poczyni wpis na Twitterze: „Dziku, mi jest po prostu tak po ludzku przykro”.

Alfą Romeo na Biskupią Kopę

W weekend Michał namówił mnie na szybki wypad na Biskupią Kopę. Co więcej – wyjazd miał być męski, czyli bez udziału osób, których imiona kończą się na literę „a”. I tak też się stało – w podróż udał się ojciec z synem. A ponieważ mamy w tamtej okolicy zaplecze, to uknułem niecny plan, ale o tym później.

W piątek wieczorem bez ociągania ruszyliśmy samochodem na południe.

W sobotę o 6:30 pobudka, śniadanie i jedziemy do Czech, by na szlak wyjść o 8-mej. Na miejscu Michał zgarnia z ziemi patyczka i zasuwa na górę, co już jest sukcesem, bo obrał

dobry kierunek. Podejście czeka nas krótkie, lecz strome. Mimo to mały chce iść sam, zresztą z nosidełka nie skorzysta wcale na tym wyjeździe. Czasami pacnie na tyłek, czasem do przodu. Za każdym razem gdy upada mówi *BAM!*. W pewnym momencie idziemy lasem bo droga jest zabłocona. Michał odgarnia patyczkiem gałązki jagód, bo go w oczy kłują. Dla mnie to wyjątkowa sytuacja, bo nigdy wcześniej nie byłem w górach z kimś, kto ma jagody na wysokości oczu.



Michałek w drodze na Biskupią Kopę

Akcja w dalszej części rozgrywała się statycznie-dynamicznie i do końca nie było wiadomo czy cel zostanie osiągnięty. Momenty zawahania miewaliśmy obaj. Niech to, jak ciężkie to było przedsięwzięcie potwierdzi fakt, że pokonanie dystansu 1,7km zabrało nam niemal 1,5 godziny. To słabe tempo mogło być spowodowane samochodzikiem, jaki ze sobą wzięliśmy, a była to Alfa Romeo (z zepsutym napędem).

Częściowo samemu, częściowo na rękach Michał mimo wszystko zdobywa swoją kolejną górę – Biskupią Kopę – o wysokości 890 m n.p.m.

Ze względu na wczesną porę podczas wejścia byliśmy na szlaku

zupełnie sami. A w zejściu Michałek wybrał najładniejszą turystkę i z obojętną miną pomachał do niej. A ta, rozradowana natychmiast do niego podeszła, zagadała i dała lizaczka. Próbowałem tego potem na innych turystkach ale mi nie wychodziło. Nie wiem jak on to robi.

Rady dla rodziców podczas podobnych wyjazdów z niespełna 2 letnim dzieckiem:

1. Jeżeli jest początek kwietnia, wiaterek i 4 stopnie to weźcie dziecku i sobie rękawiczki (był bunt gdy chciałem założyć mu w zamian zapasowe skarpetki).
2. Nie dawajcie mu czekolady w trakcie marszu jeśli nie chcecie by był od ust w dół zalany brązowym ślinotokiem.
3. Najlepiej w wcale nie dawajcie mu czekolady, ponieważ dziecko urządza bunty (nie wstanę jak mi nie dasz kolejnej kostki).
4. Zabierzcie mniej awaryjne auto niż Alfa.



Na szczycie

Po odwiezieniu Michałka do cioci zaliczyliśmy jeszcze niezłą imprezę, gdzie było mnóstwo dziewczyn. Jak zsumowałem wiek ich wszystkich oraz mój i Michałka to wyszedł remis. A potem... ruszyłem z powrotem w Góry Opawskie. Z hamakiem i twarzą Bear Gryllsa przed oczami. Ale o tym [w następnej historii](#).

Korona Sudetów na śpiąco

Trudno w dzisiejszych czasach znaleźć wyzwanie, którego nikt się wcześniej nie podjął. Zdobywanie szczytów nocą, tyłem, rowerem, albo nocą na rowerze, w dodatku jadąc tyłem – to już było. Nawet najbardziej szalone przedsięwzięcie upada, gdy dowiadujemy się w trakcie, że ktoś już to zrobił.

Dlatego tym razem upewniliśmy się, że to, czego się podjęliśmy to pomysł całkowicie unikatowy. Projekt ten nie ma jeszcze oficjalnej nazwy ale moja rola ogranicza się w nim tylko do roli szeryfa. To, o co w tym projekcie chodzi, to:

zdobycie Korony Sudetów... na śpiąco.

A ponieważ na starość spać się chce coraz mniej, Michał postanowił nie zwlekać i z projektem wystartował w 7-mym tygodniu życia.

Na pierwszy strzał poszła Ślęza, praktycznie bez przygotowania. Poszło gładko a Michał spał twardo do samego szczytu. Celowo obrał na początek górę niewymagającą.



Drzemka na Ślęży

Zaledwie tydzień później, korzystając z aklimatyzacji Michał namówił nas na Wielką Sowę. Tym razem nie było tak łatwo jak poprzednio. Niemniej akcja zakończyła się sukcesem i przed ukończeniem 2 miesięcy w dorobku swoim maluch miał już 2 góry. Zresztą w środowisku o tej akcji było głośno. Jego starszy nieco kolega skomentował to następująco: „gu-gu-gu”, co doskonale opisywało napotkane przez nas trudności.



Michał śpi w drodze na Wielką Sowę

Zmagania na Wielkiej Sowie uwiadomiły nam, że rozsądnie będzie lepiej się przygotować do kolejnych wyzwań. Latem Michał namówił nas na trening w Alpach. Był to dla niego prawdziwy obóz kondycyjny. Przespał tam dziesiątki kilometrów alpejskich szlaków. Pokonywał wiszące mosty, strome zbocza, parokrotnie przekroczył barierę 2000 m n.p.m. – i ani razu się nie przebudził.



Podczas treningu w Wysokich Taurach
(Alpy)

Zainspirowani najnowszymi wydarzeniami transmitowanymi spod K2 na kolejną górę uderzyliśmy zimą. Wpierw odbyliśmy trening na Marii Śnieżnej, gdzie Michał żeby nie zmarznąć w tyłek musiał nauczyć się chodzić.



Pierwsze kroki w górach.
Mróz dobry na walkę z ospą

Następnie, już w stylu „na śpiocha” na celownik wzięliśmy kolejną górę z listy Korony Sudetów – Waligórę.

Na najwyższy szczyt Gór Kamiennych weszliśmy niespodziewanie, od tyłu. Zaskoczeni tym byli wszyscy, bo nic nie wskazywało na to, że się uda. Michał już na samym początku postanowił zmoczyć spodnie i buty, a na przebranie nic nie miał ze sobą. Potem okazało się, że szlak jest oblodzony i wybraliśmy na spacer inną drogę godząc się z tym, że Waligórę tym razem odpuścimy. Na jednym z rozdroży odbiliśmy jednak na wąską ścieżkę, która od zupełnie innej strony wyprowadziła nas pod kopułę szczytową. Tam nasza droga połączyła się z „normalnym” szlakiem i tym sposobem znaleźliśmy się na wierzchołku.



Waligóra – kolejna góra na śpiąco

Warto dodać, że na wyżej wymienionej górze była z nami jeszcze 5-cio miesięczna siostra Michałka. Nie udało mi się jej jednak uchwycić, gdyż przez całą drogę schowana była pod kurtką u mamy.

Te krótko opisane wydarzenia mają spełniać rolę swego rodzaju pamiętnika. Nie zamierzamy jednak spocząć na laurach i wkrótce mam nadzieję ukażą się kolejne odcinki z cyklu „Korona Sudetów na śpiocha”.

Dziku



Michał właśnie się przebudził i dowiedział, że szczyt, który zdobyliśmy to był Rocky Summit, a nie Broad Peak

Korpoturystyka – cz.2 – „Śnieżnik dla Polaków”

Któregoś dnia w biurze padła propozycja zimowego wejścia na Śnieżnik. Było to zaraz po tym, jak przestały nas boleć nogi po poprzednim wypadzie (*czyli po 4 miesiącach*). Tym razem zamieniliśmy dresy na membranę, bo zamiast mokradeł czekały na nas na szlaku śnieżne zaspasy.

W ogóle przygotowani byliśmy doskonale. Na nogach buty, na butach stuptuty, na głowach czapki, na tyłkach kalessy, na twarzach chustki lub kominiarki. Jedynym niedociągnięciem ekwipunkowym był brak fajek, które odjechały w siną dal wraz z Dominikowym Passeratti.

I tak, w dniu 24-go lutego w składzie Sebastian, Daniel, Dawid M, Dominik, Dawid P, Jarek (Dziku) , w siarczystym mrozie ruszyliśmy na szlak. Wyjście nastąpiło z Przeł. Płoszczyna na wysokości 817 m n.p.m. Pogoda nas nie rozpieszczała. W górnych partiach wiał silny wiatr, a nam od samego początku towarzyszył parunastostopniowy mróz, który w połączeniu z wiatrem mógł spowodować szybkie wychłodzenie organizmu.

Nas jednak nic nie było w stanie powstrzymać i w doskonałych

humorach przemierzaliśmy leśny szlak wzdłuż granicy w kierunku Śnieżnika (1426 m n.p.m.). Słowa nie są w stanie opisać tej wędrówki lepiej niż galeria zdjęć z podpisami, którą prezentuję poniżej. Warto jednak wspomnieć kilka faktów: całą trasę z przełęczy na wierzchołek przeszliśmy w 3h15'. Jest to dokładnie taki sam czas, jaki jest prognozowany wg mapy, choć oczywiście na mapie są czasy letnie. Możemy więc być z siebie dumni, że osiągnęliśmy taki wynik ledwo oderwani od komputerów.

Oczywiście taki sukces zawdzięczamy wiedzy, jaką wynieśliśmy z kilku, bądź kilkunastu lat spędzonych w korporacji. Z troski o nasze bezpieczeństwo zabraliśmy ze sobą wydruki szkoleń BHP o tematyce takiej jak: „Pamiętaj o poślizgnięciach”, „Prace na wysokości”, czy np. „Spadające przedmioty” lub „Omdlenia”. Przed wyjazdem wyznaczaliśmy sobie również CI plan, który wdrażaliśmy w życie podczas wędrówki, a pokonywanie kolejnych kamieni milowych oraz zmiany faz projektu umilały nam marsz. KPI's świeciły się na zielono, a my mieliśmy jasną wizję i sfokusowani na celu czyniliśmy tego dnia niebywale szybkie postępy.

W miejscu tym jednak jestem zmuszony wspomnieć o jednym nieplanowanym incydencie, kiedy to załapał nas jeden z członków wyprawy. Sytuacja, w której nasz kolega oparł się na kolana, po czym opadł bez sił na śnieg była dla wszystkich zaskoczeniem. Szybko się jednak otrząsnęliśmy i wspólnymi siłami rozpoczęliśmy przysypywać ciało śniegiem. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy w stanie dla niego już nic więcej zrobić. W takich ekstremalnych warunkach, kiedy to do najbliższej cywilizacji jest dobre 500 metrów każdy powinien wiedzieć, że jest zdany tylko na siebie. Kiedy już prawie uporaliśmy się z tym problemem sytuacja kompletnie nas zaskoczyła. Nasz (uznany za straconego) kompan wystającą spod śniegu ręką ulepił z igliwia i fragmentu koszuli skręta, mocno się zaciągnął, po czym wstał i otrząpał się ze śniegu bez oznak zmęczenia. Zatem nadal w komplecie ruszyliśmy na ostatni odcinek dzielący nas

od szczytu.

Widoki z wierzchołka były niezwykle. Ja osobiście zapamiętałem jakiegoś pana w dżinsach oraz odmrożony nos Dawida P. Poza tym – wszechogarniająca biel w kilku odcieniach białości. Nie posiadając się z zachwytu nad otoczeniem zaczęliśmy schodzić na polską stronę – do schroniska. Tam odpoczęliśmy i zeszliśmy do Międzygórza, *gdzie przywitała nas sarenka z pomponami, zebra i 400 lumenów z kwiatami*. Po spożyciu pizzy z jajkiem i groszkiem udaliśmy się do pensjonatu na wichrowym wzgórzu. Dawid M natychmiast poszedł spać (*w stuptutach i kominiarce*) a my obejrzeliśmy wspaniałą baśń o Kapitanie Ping Pongu („My name is Pong. Ping Pong”).

W tym dniu przeszliśmy 19km i zdobyliśmy blisko 700 metrów przewyższenia. Zeszliśmy ponad 900 metrów w dół. Jak na zimę to dobry wynik i cała ekipa może być z siebie dumna. Tym bardziej, że całość zrobiliśmy w zgranym i radosnym stylu.

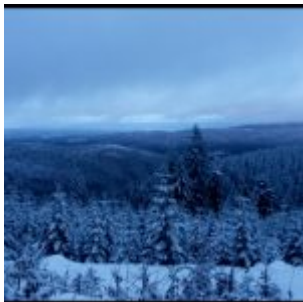
Pozdrawiam

Dziku

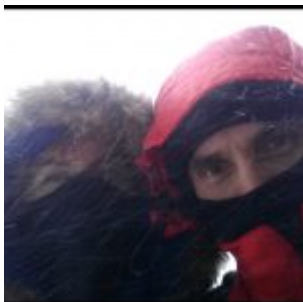
PS. Pomiąłem istotny aspekt integracyjny, kiedy to w pensjonacie Sebastian dokonał uczciwej wymiany z innymi turystami. Mianowicie oferowali nam litrowy Tymbark za dwie czekolady. To znacznie nam pomogło, ponieważ uniknęliśmy zagryzania bimbru czekoladą.



Husaria tuż przed parkingiem i końcem „treningu”



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu



Na szczycie – 1491 m



W drodze na Pradziada



Jakiś 20-ty km trasy. Powrót do auta.

Wyjazd dezintegracyjny

W dniach 1-3 IX doszło do wyjazdu firmowego-działowego. W składzie Jarek, Daniel, Michał, Dominik i Dawid (zastępował Sebę) pojechaliśmy pociągiem do Szklarskiej (końcówka trasy na doping), przegapiliśmy stację, błędziliśmy w deszczu i na koniec obejrzeliśmy (przespaliśmy) mecz Dania – Polska.

Następnego dnia przeszliśmy górami do Świeradowa. Po drodze zdobyliśmy Wysoki Kamień i Wysoką Kopę (najwyższe wzniesienie Gór Izerskich). Po przeliczeniu kroków wyszło, że zrobiliśmy na nogach około 30 kilometrów. Najbardziej męczące było jednak ciągłe zagrożenie ze strony licznie występujących w tamtym rejonie mutantów z bagien.

Wieczorem ze zmęczenia nikomu się po wódkę nawet nie chciało iść. Po wypiciu wspólnie jednego piwa za pomocą pięciu słomek wszyscy posnęliśmy.

Jarek

PS. oparliśmy się pokusie zjazdu do miasta gondolą więc czysty styl był zachowany do końca

W Górach Izerskich

W dniach 1-3 IX 2017 doszło do wyjazdu działu ECPS. W składzie Jarek, Daniel, Michał, Dominik i Dawid (zastępował Sebę) pojechaliśmy pociągiem do Szklarskiej (końcówka trasy na doping), przegapiliśmy stację, błędziliśmy w deszczu i na koniec obejrzeliśmy mecz Dania – Polska.

Następnego dnia przeszliśmy górami do Świeradowa. Po drodze zdobyliśmy Wysoki Kamień i Wysoką Kopę (najwyższe wzniesienie

Gór Izerskich). Po przeliczeniu kroków wyszło, że zrobiliśmy na nogach około 30 kilometrów. Najbardziej męczące było jednak ciągłe zagrożenie ze strony licznie występujących w tamtym rejonie mutantów z bagien.

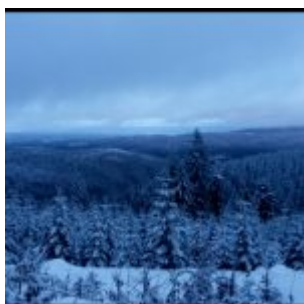
Wieczorem ze zmęczenia nikomu się po wódkę nawet nie chciało iść. Po wypiciu wspólnie jednego piwa za pomocą pięciu słomek wszyscy posnęliśmy.

Jarek

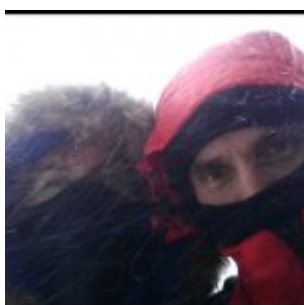
PS. oparliśmy się pokusie zjazdu do miasta gondolą więc czysty styl był zachowany do końca



Husaria tuż przed parkingiem i końcem „treningu”



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu



Na szczycie – 1491 m



W drodze na Pradziada



Jakiś 20-ty km trasy. Powrót do auta.

Herr Flick Memorial

Cel – Śnieżka (1602 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – marzec 2016

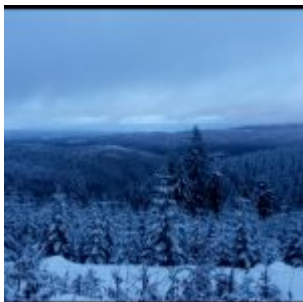
Kto – Dziku

Tekst– Dziku

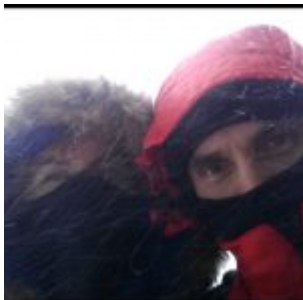
Zdjęcia– Dziku



Husaria tuż przed parkingiem i końcem „treningu”



Widok ze szlaku tuż przed zjazdem do parkingu w Zieleńcu



Na szczycie – 1491 m



W drodze na Pradziada



Jakiś 20-ty km trasy. Powrót do auta.

7 III 2016

O godz. 6:10 wychodzę z parkingu w Szklarskiej Porębie. Przede mną długi marsz. W planie mam przejście grzbietu Karkonoszy, wejście na Śnieżkę i zejście do Karpacza. Letni czas wg mapy to 10,5h. Trasę tę pokonałem już zimą kilkakrotnie, ale za każdym razem z noclegiem gdzieś po drodze. Dziś ma pójść całość na jeden strzał.

Jest pochmurno, mgliście i słyszę, że w koronach drzew wieje. Nie zniechęca mnie to, spodziewałem się, że wiatr nie opuści mnie ani na chwilę. Pierwszy przystanek robię w schronisku na Hali Szrenickiej. Trasa do tego miejsca prowadzi wygodną drogą. Śnieg ubity, nie jest ślisko. Odpoczynek jest krótki, tyle żeby skorzystać z kibla. Przed drzwiami zjadam napoczęte wczoraj jabłko. Nawet nie wchodzę na schody.

Trasa na Szrenicę znośna. Jeśli nie gubię udeptanej, zawianej ścieżki to jest dobrze, zapadam się co najwyżej do kostek. W gęstej mgle i wyraźnie odczuwalnym wietrze pnę się do góry. Mijam odbicie na Szrenicę, dochodzę do Śnieżnych Kotłów i czuję jakby wiatr słabnął. A jeszcze chwilę wcześniej otulałem twarz, bo zaczynała się pokrywać szronem. Wspominam moje pierwsze przejście tej trasy, kiedy mniej więcej w tej okolicy zorientowałem się, że pół twarzy mam pokryte warstwą lodu. Niestety maszerowałem wtedy w „złą” stronę, bo najczęściej wieje z zachodu na wschód. Miałem na sobie wtedy gumową kurtkę, sztruksy i glany. Nie jestem pewien czy zdawałem sobie sprawę, że jestem w górach.

Przy stacji nadawczej nie przerywając marszu zjadam bułkę. Widoczność bliska zera, więc nie tracę też czasu na zdjęcia. Pojawia się jednak inny problem – zaczyna mnie rwać w kolanie. Myślę, czy nie zrobić prowizorycznej kuli i nie kuśtykać najbliższym zejściem na dół albo zawrócić. Wyginam nogę na wszystkie strony szukając optymalnego ustawienia i udaje mi się zminimalizować ból. Przez mgłę powoli przebija się słońce, a wiatr słabnie niemal do zera. Szlak w większości przewiany, torowania niewiele, no i ciepło. Nie chcę zmarnować tak dobrych warunków. Idę dalej.

Po 4h od wymarszu jestem na Przełęczy Karkonoskiej. Do tego momentu nie spotkałem nikogo. Teraz pojawili się ludzie na biegówkach jako pewne urozmaicenie tego samotnego marszu. Mija mnie rozpędzony Czech, przewraca się i wbija twarzą w śnieg. Pytam czy ok, odpowiada coś niezrozumiale. Tak to już jest ze zjeżdżaniem na biegówkach.

Jeszcze przed przełęczą wraca ból kolana. Już na dobre. Od tej pory idąc staram się nie zginać nogi. Herr Flick na Równi Pod Śnieżką. W ten sposób dochodzę do Słonecznika. Przede mną nareszcie widoczna Śnieżka. Teren na najbliższe godziny niemal płaski więc mogę powłóczyć nogą. Tylko wtedy nie boli. Droga do Śląskiego Domu dłuży się paskudnie. Kiedy tam wreszcie docieram robię dłuższy postój. Zjadam resztę bułek i wypijam do końca co zostało w termosie. Przede mną finisz.

Wchodzę na szczyt po 7 godzinach od wymarszu ze Szklarskiej Poręby. Zejście do miasta zajmie mi tylko godzinę, ale jest najgorsze, bo najbardziej bolesne z dzisiejszych doświadczeń. Nogę muszę mieć wyprostowaną więc zsuwam się trzymając się łańcuchów. Mijam Śląski Dom, Kopę i czarnym szlakiem szybko w dół. Niestety nie ma już łańcuchów, których mógłbym się przytrzymać. O godz. 14:10 wchodzę na asfalt w Karpaczu. Podjeżdża po mnie Agnieszka. Już nie muszę iść, jedynie na obiad i do sklepu po coś do picia. I jak na złość wszędzie schody!

Bilans:

8 godzin

31,5 km

1520 metrów w górę

1420 metrów w dół

Jestem piekielnie z siebie zadowolony. Wprawdzie z powodu nogi musiałem odpuścić podbieganie, ale dzięki temu całość poszła równo, bez pocenia i uczucia zmęczenia. Jednak po powrocie spałem w nocy jak zabity. Tylko z niezrozumiałych względów śnili mi się kibole, którzy rzucali we mnie kamieniami. Nie wiem co gorsze, bo noc wcześniej ganiał mnie po osiedlu bandyta z mieczem samurajskim i rozcinał ludzi na pół a mnie tylko w plecy zranił. Co będzie dziś?

Stawiam, że mnie kosmici porwą...

– END –

6 minut na setkę

6-go kwietnia docieram w Góry Opawskie. Potrenować, czyli przejść szlakami szybkim tempem jak największy dystans. Już jak dojeżdżam do granicy to wiem, że plany trzeba zweryfikować. Gruba warstwa śniegu zalega na polach, na poboczach, na parkingach na granicy. Nie widzę za bardzo możliwości zaparkowania. W ten sposób zatrzymuję się dopiero w mieście – w Zlaté Hory. Nie szkodzi. Nieważne czy przebiegnę po suchym szlaku 30 km czy przetoruję w wysokim śniegu 15 km. Mam się zmęczyć. No to się zmęczyłem...

Ruszyłem koło godziny 10:40. Pokręciłem się chwilę w poszukiwaniu niebieskich znaczków. Są! Teraz tylko wypatrywać kolejnych i dotrę po nich prawie na szczyt. I to szczyt nie

byle jaki, bo najwyższy szczyt Gór Opawskich – Příčný vrch – całe 975 m n.p.m. Jestem na poziomie niecałych 400 m. Przede mną mniej niż 600 m w pionie. Niby niewiele. Ale kto kiedykolwiek torował w śniegu ten wie.



Po wyjściu z miasta idę jakiś czas wzdłuż wyciągu

narciarskiego. Wyciąg wciąż działa ale widzę jedynie trzech narciarzy – starszego pana ciągnącego na linie dziecko i 100 metrów za nimi kolejny mały chłopczyk, który mocno odpychając się podąża ledwo pochyłym stokiem za pierwszą dwójką. Choć jest kwiecień to tu jest pełnia zimy. Jeszcze długo idę w towarzystwie czeskiej muzyki dochodzącej z głośników przy wyciągu. Po zejściu z ratrakowanej trasy wbijam się w las i... głęboki śnieg. Tempo spada. Przeciskam się przez las stawiając kroki w dziewiczym śniegu i kontempluję. Zastanawiam się, ile razy ostatnimi czasy zawróciłem sprzed szczytu. Mont Blanc, Punta di Penia, Matterhorn, Liskamm Zachodni i kilka innych. Może to nie ta półka co Sudety ale mechanizm jest ten sam. Zimno, zmęczenie, złe warunki i już się załęga myśl: „piernicze, po co się męczyć, jest usprawiedliwienie, jest to i tamto, można sobie odpuścić”. Ale dziś nie odpuszczę. Nawet jak przyjdą takie myśli.

Zatrzymuję się na parę łyków wody i przegryzkę. 5 minut i idę dalej. Czuję jak mokra koszulka wychładza mi ciało. Muszę być ciągle w ruchu. O 12:10 jestem przy ruinach zamku Edelstejn. 685 m n.p.m. Przejście 300 metrów w pionie i 4,5 km trasy zajęło mi 1,5 godziny. Nie jest źle. Szacuję, że za kolejne 1,5 h będę na szczycie. Trochę się pomyliłem.



Krok za krokiem posuwam się w głębokim śniegu. Jeśli zatrzymuję się, to tylko na chwilę, parę łyków wody, kanapka do ręki i dalej, w drogę. I myślę sobie, jak można łatwo w takim terenie zgubić szlak. To było jedno z założeń: nie zgubić szlaku mimo zmęczenia, nieznanej trasy i pośpiechu. Jakoś się udało. Chociaż oblepione śniegiem drzewa sprawy nie ułatwiały. No i ta gęsta mgła... Czasem przez długi czas nie widziałem oznakowanego szlaku. Mijam Vyr (795 m), a o 13:20 wchodzę na skałę znajdującą się w punkcie widokowym. Myślę, że to Hreben. W rzeczywistości jestem dużo niżej. Droga skręca znów ostrzej w górę. Idę środkiem małego wąwozu. Choć w środku nagromadziło się mnóstwo śniegu to innej drogi nie widzę. W pewnym momencie natykam się na ambonę. Stoi w zasięgu ręki ale mam problem, żeby się do niej dostać. Brodzę centymetr po centymetrze w śniegu po uda by dotrzeć do drabinki. Mam w tym cel. Jest mi zimno i mam częściowo mokre spodnie. Na ambonie rozbieram się do majtek, zakładam getry i wyciągam z plecaka

kurtkę. Teraz jest ok.



W końcu dochodzę do punktu zwanego Hreben. Jest 14:22. Do najwyższego punktu Gór Opawskich napisane jest 0,5 km. Ruszam niemal zupełnie płaskim terenem ostatnie kilkaset metrów. Po 10 minutach niecierpliwię się. Czuję jak pieką mięśnie w udach ale od pewnego czasu jestem już w rytmie. W stanie, w którym zmęczenie uchodzi na drugi plan. Znam ten stan i wiem, że można tak godzinami. Nawet jak nie ma jedzenia i picia. Ale tu jestem psychicznie osłabiony przez te „0,5 km” na drogowskazie. Po 20 minutach zaczynam się wahać. Czasu coraz mniej a ja jestem ciągle w lesie. Dosłownie. Wiem, że gdzieś tu jest tabliczka na drzewie oznaczająca cel ale zaczyna mi spadać motywacja. Jednak ciągle mam w głowie dzisiejsze przemyślenia – nie odpuszczaj jeśli nie musisz. Czuję się, jakbym przeszedł już kilometr ale postanawiam zrobić jeszcze 200 kroków. Liczę do 150, rozkojarzam się, jeszcze na czuja

parędziesiąt kroków. Staję, mam dość. Ale wydaje mi się, że coś widzę. Ostatnie 50 metrów – mówię sobie. I faktycznie – na drzewie tabliczka – Příčný vrch – 975 m n.p.m. Te „500 metrów” pokonywałem 30 minut! Przypominam sobie, jak stałem tu jakiś czas temu, gdy zdobywałem zimową Koronę Sudetów w ciągu jednego sezonu. Wtedy jednego dnia wszedłem na 3 szczyty w 3 różnych pasmach. Příčný vrch był 3-ci tego dnia i wszedłem na niego od parkingu z Horní Údolí w 35 minut!

Przejście powrotnego dystansu (około 8 km) do miasta było zdecydowanie łatwiejsze gdyż zdecydowałem się wracać tą samą trasą. Wchodziłem ponad 4 godziny, a po 6 i pół godzinie od wyjścia wróciłem do samochodu.

Co jakiś czas potrzebuję samotnej wyrpy. Przebywając w takich okolicznościach tylko sam ze sobą można sobie łatwiej uświadomić pewne rzeczy.

A teraz wracam do domu spełniony. A najważniejsze – w bagażniku mam zapas dobrego, czeskiego piwa.

– END –

Dziku



KČT
PŘÍČNÝ VRCH
975 m
NEJVYŠŠÍ BOD ZLATOHOŘSKÉ VRCHOVINY
NA VRCHOLU TĚŽEBNÍ PINKA O HLoubCE 30 m
2008 JE249m

PĚŠÍ TRASA KČT
HŘEBEN 0,5 km
ZLATÉ HORY (ŽST) 8 km
ZLATÉ HORY (NÁM.) 9 km
2009 JE249m

PĚŠÍ TRASA KČT
HORNICKÉ SKÁLY 1 km
HERMANOVICE (HŘEBEN, BÚS) 3 km
DALE PO ŽLUTÉ
PANNA MARIE POMOCNÁ 6,5 km
2009 JE249m

ZELENÁ
PRO VAŠE KROKY
LES podpora a značení turistických tras